

MICHAŁ GŁOWIŃSKI*

Z szuflady Profesora Michała Głowińskiego**

Trzy tęgie głowy. II

Władysław Bartoszewski (1922–2015)

W piątek 22 kwietnia odezwał się telefon równo godzinę przed północą. Dzwoniła redaktorka II Programu Polskiego Radia, zapytała, czy wiem, że zmarł profesor Bartoszewski, prosi o wypowiedź, która pójdzie na żywo na antenę, za piętnaście minut zadzwoni do mnie prowadzący audycję Jerzy Kisielewski. Mówiłem o niezwyklej biografii Bartoszewskiego.

Nie wiem, kto postanowił, by mnie poprosić o powiedzenie tych kilku słów. Znałem osobiście Władysława Bartoszewskiego, nie była to jednak nigdy znajomość bliska, nie należałem do skądinąd nader licznego grona otaczających go osób, wywodzących się zresztą z różnych kręgów i związanych z różnymi dziedzinami jego działalności. Poznałem go pod koniec lat siedemdziesiątych w związku z pewną sprawą, o której opowiem, nazwisko jego było mi znane jednak sporo wcześniej, myślę, że w związku z tomem *Ten jest z ojczyzny mojej*, który opracował przy współpracy Zofii Lewinówny, wydanym przez Znak w roku 1966, a najpierw ogłaszanym we fragmentach w „Tygodniku Powszechnym” („Tygodnika” jeszcze wówczas systematycznie nie czytałem, zaprenumerowałem go po marcu 1968; nie czytałem też tygodnika „Stolica”, w którym Bartoszewski zamieszczał, zanim ona stała się moczarowską tubą, prace o okupacyjnych czasach Warszawy). W Polsce Ludowej w tamtym okresie o Żydach i o Zagładzie niemal w ogóle się nie pisało, książka ta, wydana w renomowanym katolickim wydawnictwie, już z tej tylko przyczyny miała wszelkie po temu dane, by przyciągnąć publiczną uwagę.

* Prof. dr hab. Michał Głowiński (mg@michal.glowinski.vdl.pl), członek rzeczywisty PAN, Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa

** W 1921 roku ukazała się książka *Tęgie głowy. 58 sylwetek humanistów* (Wydawnictwo Wielka Litera), napisana przez Michała Głowińskiego. Książka zawiera krótkie eseje przedstawiające sylwetki wybitnych, zmarłych polskich humanistów. Początkowy zamiar autora, aby owe eseje (a napisał ich ponad 220!) spoczęły w szufladzie jego biurka, został przez niego zarzucony i część z nich ukazała się drukiem. Nadal jednak ponad 160 tekstów spoczywa w biurku. W uzgodnieniu z prof. Głowińskim redakcja „Nauki” – począwszy od numeru 2/2022 – w kolejnych numerach wydrukuję po trzy eseje, pod zbiorczym tytułem: *Trzy tęgie głowy*, wybrane przez autora „z szuflady” jego biurka (zob. przypis do pierwszego zestawu esejów – „Nauka” nr. 2, 2022, s. 151).

Pisząc to, uświadomiłem sobie, że z Bartoszewskim mógłbym się zetknąć w Klubie Krzywego Koła, na którego zebrania niekiedy chodziłem. Zapamiętałem sporo interesujących, wysoce charakterystycznych, znanych w życiu publicznym osób, ale nie – jego. Wynikało to, być może, z faktu, że wybierałem się przede wszystkim na te spotkania, w czasie których omawiano problemy życia kulturalnego, on zaś zaznaczał swą obecność głównie na tych, które dotyczyły najnowszej historii.

Przechodzę do sprawy, dzięki której poznałem go osobiście. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Komitet Nauk o Literaturze Polskiej, będący agendą Polskiej Akademii Nauk, utworzył serię wydawniczą, noszącą nazwę „Rozprawy Literackie” (tak zwana „seria z piórkiem”). Przewodził mu wówczas Henryk Markiewicz, z jego inicjatywy powierzono mi funkcję jej redaktora naczelnego. Wpływały do nas książki historycznoliterackie, w większości debiutujących autorów, na ogół wysoce specjalistyczne, a więc raczej nienarazające na zderzenia czołowe z cenzurą. W pewnym przypadku rzeczy potoczyły się jednak inaczej. Przekazano nam maszynopis książki młodo zmarłego historyka literatury Zdzisława Jastrzębskiego (1930–1972) o humorze okupacyjnym. Przedmiotem analizy były materiały ciekawe i mało znane. Zapewne nie było to wielkie dzieło, kwalifikowało się jednak do druku. I ja, i moi redakcyjni koledzy nie mieliśmy w tym przedmiocie wątpliwości. Postępowaliśmy zgodnie z przyjętymi procedurami, poważniejsze zmiany tekstu w grę nie wchodziły, skoro autor nie żył. Przekazaliśmy maszynopis działającemu we Wrocławiu wydawnictwu Ossolineum, w którym publikowano wówczas większość książek z zakresu nauk humanistycznych, firmowanych przez Polską Akademię Nauk, w tym również naszą serię. I się zaczęło!

Jak się domyślam, wydawnictwo posłało pracę Jastrzębskiego jakiemuś partyjnemu gorliwcowi i on zrobił swoje, czyli ją zdyskwalifikował. Zarzut główny brzmiał tak: autor zajmuje się humorem prawicowym, pomija zaś humor lewicowy. Brzmi on dzisiaj groteskowo (wtedy brzmiał groźnie), posłużył jednak wydawnictwu jako uzasadnienie motywujące odmowę publikacji. Postanowiliśmy jakoś przeciwdziałać. Nie jestem świadom, kto zasugerował, by zwrócić się do Władysława Bartoszewskiego jako świetnego specjalisty, zajmującego się latami okupacji, z prośbą o opinię. Sprawą się zainteresował, uznał, że książka Jastrzębskiego do druku się nadaje. Pojechał specjalnie do Wrocławia, by w Ossolineum przekonywać, że książka warta jest publikacji. Zwrócenie się do niego było oczywiście jak najbardziej uzasadnione merytorycznie, był i jako świadek epoki, i jako badacz, autorytetem w tej dziedzinie, wątpliwe zaś było z powodów pragmatycznych, dla PZPR-owskich tak zwanych decydentów rekomendacja Bartoszewskiego nie miała żadnego znaczenia, dla nich liczyła się nie fachowość, ale ideologiczna słuszność. Pamiętam jego opowieść po powrocie z Wrocławia. Był przerażony partyjnym dogmatyzmem, obowiązującym w tym wydawnictwie, działało ono tak, jakby było ekspozyturą cenzury, czy jej filią, to właśnie je różniło od wydawnictw warszawskich i kra-

kowskich, ich dyrektorzy, by wymienić Wasilewskiego w PIW-ie, Bębenka w „Czytelniku” czy Kurca w Wydawnictwie Literackim, należeli do PZPR, w pewnych wypadkach byli wysoko postawionymi działaczami, władze dobrze ich widziały i niewątpliwie obdarzały zaufaniem, ale nie postępowali w ten sposób, jakby byli przedstawicielami urzędu cenzorskiego, zależało im na publikowaniu wartościowych książek. W sprawie pracy Jastrzębskiego Bartoszewski konferował z bezpartyjną szefową redakcji zajmującej się działem literackim, skądinąd dobrą i kompetentną redaktorką; powiedział mi, że w czasie rozmowy odnosił wrażenie, że ma do czynienia z usługową, czy wręcz sprzedajną inteligentką (przez litość nie podaję jej nazwiska, choć je pamiętam, od dawna nie żyje). Rozwodzę się o tej sprawie, bo wydaje mi się znacząca z różnych względów. Pokazuje, że jeszcze dziesięć lat po Marcu sprawy przedstawiania okupacji i tworzenia oficjalnie zalecanej (a w istocie narzucanej) wersji historii najnowszej były dla ówczesnych władz kwestią wciąż aktualną. Mówi ona wiele także o Bartoszewskim, o jego zaangażowaniu w to, co robił, mógł bowiem potraktować to wszystko, co łączyło się z wydaniem książki Jastrzębskiego, jako sprawę raczej marginesową. Tak się nie stało, o jej publikację zabiegał intensywnie i z pełnym przekonaniem. Niestety, wysiłki te nie zakończyły się powodzeniem, zwyciężyli wydawcy-cenzorzy.

Po tym pierwszym kontakcie nie miałem już wątpliwości, jaką osobą jest Władysław Bartoszewski, docierało też do mnie, jaką ma biografię. Rozgłos zyskiwały jego książki historyczne, stawał się w coraz wyższym stopniu postacią publiczną. Po ogłoszeniu stanu wojennego szybko rozeszła się wieść, że znalazł się na liście internowanych. Było to kolejne jego uwięzienie. Tutaj, w pewnym sensie na zasadzie dygresji, opowiem to, co kiedyś, przed kilkudziesięciu laty, usłyszałem od pisarza Janusza Krasińskiego. Mówił on, że kiedy zamknięto go w jednej celi z Bartoszewskim, był to dla niego swoisty więzienny uniwersytet, prowadził on bowiem wspaniałą akcję oświatową. Krasiński wspominał o tym z podziwem i poczuciem wdzięczności, dzięki Władysławowi Bartoszewskiemu nie był to dla niego czas całkowicie stracony.

Powracam do głównej opowieści. Ponownie zetknąłem się z nim osobiście w polskim oddziale PEN-Clubu, którego w pewnym momencie został prezesem (stałem się jego członkiem nieco wcześniej, za prezesury Artura Międzyrzeckiego). Po opublikowaniu *Czarnych sezonów* usłyszałem od niego wiele dobrych słów, a nawet to, że należę do jego ulubionych pisarzy (oczywiście traktuję to jako hiperbolę, ale nie mogę jej w tej opowieści pominąć). Wydaje mi się, że równie przychylnie traktował moje kolejne książki. I w tym miejscu muszę wspomnieć o dwu nagrodach, jakimi mnie w PEN-Clubie obdarowano. Pierwszą, imienia Jana Strzeleckiego, zostałem wyróżniony za *Marcowe gadanie* tuż po zmianie ustrojowej. Druga nosi imię Jana Parandowskiego, uhonorowano mnie nią w roku 2008, zostałem jednym z pierwszych jej laureatów. Nie mam w tej materii żadnych dokładnych wiadomości, nie dotarły do mnie żadne przecieki, jestem jed-

nak pewien, że tę najważniejszą nagrodę, jaką dysponuje polski PEN-Club, zawdzięczam właśnie Bartoszewskiemu. Działa w Klubie zasada, że przy przyznawaniu wszelkich nagród rolę jury przejmuje aktualny zarząd, najważniejszą osobą jest w nim – co zrozumiałe – prezes. Wydaje mi się, że to on właśnie dostrzegł moje publikacje. Kiedy o tej przyznanej mi nagrodzie się dowiedziałem, byłem szczerze zdumiony.

W ostatnich latach dane mi było widywać Bartoszewskiego w czasie PEN-Clubowych zebrań, trudno to jednak nazwać kontaktami osobistymi czy prywatnymi. Pamiętam go jako osobę prowadzącą poszczególne spotkania, a także jako ich bohatera (już za prezesury Adama Pomorskiego), wówczas, gdy wieczory poświęcone były jego kolejnym publikacjom. Ujawniały się także w ich trakcie jego słabości. Lubił mówić, mówił dużo, do swoich wypowiedzi włączał wątki osobiste. Utrwaliło się w mojej pamięci bodaj ostatnie zebranie z jego udziałem. Po zagajeniu rozmowę z nim miał przeprowadzić Tomasz Jastrun. Udało mu się wypowiedzieć kilka zdań, w tym sformułować wstępne pytanie. Bartoszewski odpowiadał na nie przez godzinę, powiedział wszystko, co chciał powiedzieć, mówił jakby na jednym oddechu, bez kartki, w ogromnym tempie i głośno, bodaj nawet nie sięgnął po szklanekę, by odświeżyć gardło wodą mineralną. Na tej monumentalnej wypowiedzi zebranie się skończyło – a z nią rola interviewisty, który nie miał możliwości, by zadać przygotowane pytania i z monologu uczynić rozmowę. Uprawiany przez Bartoszewskiego, przynajmniej w ostatnim okresie życia, gatunek retoryczny określiłbym jako autolaudację. Nie zawsze był to typ wypowiedzi szczególnie pociągający, mógł być interpretowany jako oznaka pewnej próżności, nie ulegało jednak wątpliwości, że miał Bartoszewski prawo do zadowolenia z tego, czego dokonał w swym długim życiu. Nie chodziło tu o wysokie stanowiska państwowe, które kolejno obejmował po zmianie ustrojowej, nie chodziło nawet o cenny i obfity dorobek w zakresie pisarstwa historycznego. Chodziło o całokształt, o postawę, jakiej był wierny od najmłodszych lat, przede wszystkim zaś o działalność łączącą się z najwyższym ryzykiem i z ciężkimi ofiarami, działalność, którą rozpoczął, zanim ukończył dwudziesty rok życia, za którą zapłacił uwięzieniem w Auschwitz. Ujawniała się w tym także pewna, przyznać trzeba, że dość dziwna, próżność. Nie chciał, by tytułowano go ministrem, senatorem, ambasadorem, prezesem, choć do wszystkich tych godnościowych tytułów miał pełne prawo. Pragnął w świadomości społecznej funkcjonować jako profesor.

Był czynny do ostatnich dni swojego życia, brał udział w dokumentarnym filmie Zofii Kunert o Żegocie, przygotowywanym w pierwszych miesiącach tego roku, uczestniczył 19 kwietnia 2015 r. w uroczystościach rocznicowych upamiętniających powstanie w warszawskim getcie, w najbliższych dniach miał jako prelegent wziąć udział w spotkaniu polsko-niemieckim na najwyższym szczeblu. Włączał się w bieżące życie polityczne – i był nienawidzony przez prawicę skrajną i nie tylko skrajną. Pisano o nim tak, jakby działał w interesie wrogów Polski – Niemców i oczywiście Żydów, obrzucano go

blotem, w tym haniebnymi insynuacjami (chodziło głównie o zwolnienie z Auschwitz), kwestionowano szczerść jego katolicyzmu. Jeśli o to ostatnie chodzi, to szczególnie kompromitującym wysokiem było oświadczenie dziesięciu profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, skierowane do episkopatu Niemiec, protestujące przeciw przyznaniu Bartoszewskiemu wysokiego odznaczenia kościelnego, ich zdaniem jest on tego niegodny z różnych powodów, także prywatnych (jako rozwodnik). Fali paszkwilów, zalewających Internet i pravicową prasę, nie powstrzymała nawet wiadomość o śmierci. Prześcigano się w wymyślaniu różnych deprecjonujących określeń. Zapamiętałem na przykład takie: polskojęzyczny polakożerca (w wysłowieniu prawicy „polskojęzyczny” znaczy zazwyczaj tyle, co „żydowski”, a więc w perfidny sposób i dla złowrogich celów udający Polaka).

Władysław Bartoszewski jest wielką postacią historii Polski XX wieku, postacią heroiczną. Jestem świadom, że moje wspomnienia dotyczą marginesów jego działalności, tylko o nich mogę pisać, opierając się na własnych wspomnieniach.

Warszawa, 2015

Edmund Jankowski (1912–1991)

Edmund Jankowski należał przez dziesięciolecia do stałego krajobrazu ludzkiego Instytutu Badań Literackich. Pracował w nim kilkadziesiąt lat, po przejściu na emeryturę też często się w Pałacu Staszica pojawiał. Typ jego pracy: opieka nad archiwaliarni Orzeszkowej, związana z publikowaniem jej listów, oraz przewożenie zespołowi zajmującemu się przygotowaniem księgi pseudonimów, wymagał częstej obecności. Klitka, w której pracował, mieściła się na najniższej kondygnacji Pałacu Staszica, tuż obok biblioteki, wchodziło się do niej z niewielkiego, jakby zakonspirowanego korytarza, charakterystycznego dla tej niby klasycystycznej, a w istocie labiryntowej budowli. Spotykało się go, gdy wychodził z tego niewielkiego, zarzuconego różnorakimi papierami pomieszczenia, które trudno nazwać gabinetem czy pracownią. Tak go właśnie zapamiętałem z czasów, gdy jeszcze nie znaliśmy się osobiście, a więc z końca lat pięćdziesiątych, kiedy rozpoczynałem pracę w Instytucie.

Był to wówczas jeszcze pan magister Jankowski; stopień doktorski uzyskał późno, stosunkowo szybko jednak doszedł do profesury. Był jedynym bodaj profesorem historii literatury polskiej, który wszystkie kolejne stopnie zdobywał nie na podstawie studiów interpretacyjnych, ale prac edytorskich. Wiedziano, jak znakomitym jest wydawcą. Jego naukowa edycja listów Orzeszkowej, niestety nieskończona (ukazało się dziewięć to-mów), jest dziełem imponującym, a komentarze stanowią fasynujący przewodnik po

kulturze polskiej drugiej połowy XIX wieku. Kiedy się je czyta, nasuwa się przypuszczenie, że okres ten nie krył przed nim żadnych tajemnic, wiedział o nim wszystko. Napisał świetną, wielokrotnie wznawianą, biografię Orzeszkowej, unikał jednak nie tylko prac syntetycznych, ale nawet analiz konkretnych utworów. Był typowym materiałowcem, działającym na najwyższym poziomie, bibliotecznym szperaczem, poszerzającym wiedzę o epoce o kolejne mniej lub bardziej ważne szczegóły. Człowiekiem skromnym, któremu nie zależało na błyszczeniu, człowiekiem roboty dobrej i wielkiej. Jego dokładność i rzetelność były przysłowiowe. Umiał poświęcić wiele godzin, by znaleźć wyjaśnienie jakiegoś niewiele znaczącego drobiazgu, nad którym kto inny przeszedłby do porządku.

Zajmował się pozytywizmem – i był pozytywistą. Dużo czytał, interesował się tym, co się dzieje w nauce o literaturze, z zaciekawieniem przyglądał się nowinkom, ale traktował je tak, jakby należały do innego świata i dla jego pracy nie miały znaczenia. Pozostał wierny przeświadczeniu, według której nauka to gromadzenie wiedzy o konkretnych, ściśle wymiernych faktach. Kiedyś miałem z nim charakterystyczną, ale w jakiejś mierze też zabawną rozmowę. Zaprosiliśmy go na zebranie Pracowni Poetyki Historycznej, na którym dyskutowany był mój szkic *Pisimak 1863*. Jak zwykle dokładnie przeczytał tekst, ale głosu – o ile pamiętam – nie zabrał. Dopiero po kilku dniach zgłosił zasadnicze zastrzeżenia do ostatniej części szkicu, w którym zastanawiam się nad tym, jakby potoczyły się dalsze losy Józefa Aleksandra Miniszewskiego, gdyby nie został zamordowany w czasie Powstania Styczniowego. Zdaniem Jankowskiego fragment ten urągał wszelkim zasadom, jakie winna respektować nauka, obniżał poziom i powagę mojej pracy, sugerował więc, by go przed publikacją usunąć. Na moje argumenty, że historyk ma prawo zajmować się pewnymi modelowymi możliwościami (zwłaszcza gdy podkreśla, że o możliwościach, a więc swojego rodzaju rozwiązaniach alternatywnych, mówi), pozostał nieczuły. Więcej, i moim tekstem, i jego obroną poczuł się zgorzony, wychodzenie poza empirycznie sprawdzalne fakty nie tylko kwestionowało jego rozumienie nauki, ale było wręcz naganne moralnie. Niedwuznacznie mi to powiedział; stosunki między nami i przedtem, i potem były doskonałe. Zawsze mnie zdumiewało, że okazywał duże zainteresowanie dla moich publikacji, choć dalekie były od tego, czym się zajmował.

Ten pozytywista był głęboko wierzącym katolikiem, chyba w swym głównym nastawieniu konserwatywnym, ale niewątpliwie otwartym. W dawnych latach słyszałem, że określano go słowem „bigot”, ale wówczas niewiele trzeba było, by je do człowieka zastosować. Nigdy z nim na te tematy nie rozmawiałem, w tej materii był dyskretny i nieostentacyjny, przynajmniej w Instytucie, choć jak dowiedziałem się z przemówień jego kolegów, wypowiedzianych nad grobem, i z kazania, wygłoszonego przez księdza, który przed dziesięcioleciem był jego uczniem w zakonnym liceum Marianów na Biełanach, wiara stanowiła ważną sprawę w jego życiu i to nie od święta, ale w codzien-

ności. Pochodził z rodziny bardzo pobożnej, jego brat był księdzem, podobno wybitnym specjalistą w dziedzinie muzyki kościelnej. A że był konserwatywny, wnosząc z takiej rozmowy z drugiej połowy lat siedemdziesiątych: wyrażał on ubolewanie, że „Tygodnik Powszechny” udostępnia swoje stronicie osobom, które katolikami nie są, mają przeszłość od Kościoła daleką, tak że w końcu zabraknie miejsca dla autorów szczerze wierzących. W katolickim czasopiśmie nie oczekiwał on zapewne artykułów politycznych, irytować go musiały publikacje autorów, którzy niegdyś byli komunistami, a także ich obecna prawowierność mogła budzić jakże uzasadnione wątpliwości.

Politycznie był Jankowski zwolennikiem narodowej demokracji, w młodości – prawicowym katolikiem, których tak wielu działało w latach trzydziestych, choć – domyślam się – obce mu były falangistowskie radykalizmy. W latach późniejszych, jak słyszałem, podkreślał, że aprobejuje klasyczną wersję programu endecji, czyli z przełomu XIX i XX wieku, ale zarazem zaznaczał, że odrzuca antysemityzm. Warto tu opowiedzieć historię, która zdarzyła się mniej więcej przed dwudziestu laty. Po tym jak Kazimierza Wykę pozbawiono stanowiska, kryzys dyrektorski w naszym Instytucie trwał długo. W pewnym momencie partia zdecydowała się na nominowanie pewnego profesora Uniwersytetu Łódzkiego, znanego jako frustrat, narwaniec i nienawistnik. Profesor ów, z którym przedtem nie miał żadnych związków, pojawił się w roli dyrektora. Nie znał w nim nikogo w takim stopniu, by z nim szczerze rozmawiać. Znał jednak z czasów studiów swojego rówieśnika, Jankowskiego – i zaprosił go na rozmowę. Nad krajem unosiły się jeszcze wówczas pomarcowe opary, pierwsze pytanie, jakie zadał dawnemu koledze brzmiało tak: ilu w Instytucie pracuje Żydów? Jankowski nie tylko na nie nie odpowiedział, ale zareagował ostro, oświadczył, że antysemityzmu oduczył się w czasie okupacji i nie ma zamiaru do niego wracać. Według relacji Stefana Treugutta, który mi tę historię opowiedział, wyszedł z gabinetu świeżo upieczonego dyrektora oburzony i zdenerwowany. Wydarzenie wydaje się interesujące i charakterystyczne nie tylko ze względu na Jankowskiego, także dlatego, że pokazuje odwrócenie ról: ów nowy dyrektor był przed wojną lewicowy i do argumentów antysemitycznych zapewne się nie odwoływał, Jankowski reprezentował prawicę, a więc tego rodzaju argumenty nie mogły mu być w latach trzydziestych obce. Ta w sumie dość przypadkowa rozmowa miała dla historii Instytutu duże znaczenie: świeżo mianowany szef przeraził się, że natrafi na opór, uświadomił sobie, że nie może liczyć nawet na dawnych endeków i ze stanowiska zrezygnował. Był dyrektorem IBL-u przez pół dnia. Na tym chyba zakończyła się jego kariera, władcy zdali sobie sprawę, że nie mogą polegać na kimś tak narwanym i nieodpowiedzialnym.

Zapobieżenie stojącemu u bram niebezpieczeństwu nie stanowiło, oczywiście, jedyne wkładu Jankowskiego do dziejów Instytutu. Znalazł się w nim (z poręki Krzyżanowskiego) w czasach, kiedy była to stalinowska placówka, a więc odgrywać mógł rolę niewielką, był skromnym dokumentalistą, zagrzebanym w archiwaliach Orzeszkowej,

w miarę jednak ewolucji Instytutu jego rola rosła, zdobywał społeczny autorytet, powierzano mu różnorakie funkcje i obowiązki, liczono się z jego opiniami. Ze wszystkich swych zadań wywiązywał się ze wzorową akuracnością, ale też dbał, by nikomu się nie narazić, by nie wejść w konflikt z partią, by nie angażować się w cokolwiek, co mogło wydać się przejawem nonkonformizmu. Wiem, że koledzy mieli do niego pretensje, że milczał na posiedzeniach Rady Naukowej za rządów Nawrockiego, że nie poparł tych, którzy się sprzeciwiali panoszeniu się tego aparaczyka, a był wtedy emerytem, który na wiele mógł sobie pozwolić. Sam Jankowski musiał zdawać sobie sprawę, że oczekuje się od niego czegoś więcej niż konsekwentna i programowa bierność i kiedyś sam zaczął rozmowę na ten temat, tak jakby czuł potrzebę tłumaczenia się. Powiedział mianowicie, że nie włącza się w batalię przeciw Nawrockiemu, bo się obawia, że gdyby to zrobił, dyrekcja Instytutu pozbawiłaby go połowy etatu, którą mu przyznano ze względu na udział w pracach nad słownikiem pseudonimów, a dla niego jest to sprawa z wielu powodów ważna.

Wydaje mi się jednak, że chodzi tu o zjawisko istotniejsze: Jankowski był człowiekiem głęboko zastraszoną, co zresztą charakterystyczne dla wielu osób z jego pokolenia. Był jednym z tych, których strach paraliżował, należał do tej okazałej grupy ludzi, która robiła wiele, by się Polsce Ludowej nie narazić, ale też nie robiła niczego, by się jej przypodobać. Nie zabiegał o karierę, nie pragnął sławy, chciał w spokoju przeżyć swoje życie. Tak, by wywiązać się ze zobowiązań wobec rodziny, z wychowania synów itp. Osoby, które miały z nim kontakty bliższe niż ja, utrzymują, że istnienie w strachu było naczelną cechą jego osobowości. Tak rzecz ujmuję Andrzej Biernacki, który znał go od dawna, dobrze i wysoko cenił. I jako dowód przywołuje fakt, że Jankowski odmawiał jakiegokolwiek współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym” tylko dlatego, że się bał. Strach taki był zrozumiały na początku lat pięćdziesiątych, bo wówczas każdy, kto w nim cokolwiek publikował, traktowany był przez komunistów jako wróg. Ale od czasu październikowego wznowienia pisma było już inaczej, ogłaszanie w nim swoich prac naprawdę niczym nie groziło. Co najwyżej tym, że tego, kto to czynił, partia nie traktowała jako „naszego człowieka”, ale przecież do pozycji „naszego człowieka” nie aspirował Jankowski nigdy. Strach paraliżował go w czasie, w którym raczej nie było już po temu realnych podstaw. W spotęgowanej strachliwości ten czy ów skłonny byłby widzieć małość tego człowieka. Nie oceniałbym surowo w tym przypadku tej przypadłości, strach był cechą właściwą temu pokoleniu, wynikiem doświadczeń, nawarstwiających się od roku 1939. Nie taję, że piszę o Edmundzie Jankowskim z sentymentem, zrozumieniem i sympatią, choć reprezentował formację, która jest mi zdecydowanie daleka.

Warszawa, 1991

Janusz Szuber (1947–2020)

Myślę o Januszu Szuberze ze współczuciem, empatią, podziwem. Tak, z podziwem. Mimo tego bowiem, jak strasznie i okrutnie potraktował go los, pozostawił rozległy dorobek poetycki, był człowiekiem o szerokich zainteresowaniach i żywej inteligencji, innymi słowy – nie poddawał się chorobie, mimo że wystawiała go na ogromne cierpienia, ograniczała życiowe możliwości. I przyszła wcześniej, bo w początkowych latach studiów, nie pozwalając na dotarcie do magisterium. Jego rodzinnym miastem był Sanok. Studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, choroba zmusiła go do przerywania nauki. Z tego czasu zapamiętał go Zdzisław Łapiński, który prowadził w grupie, do jakiej Janusz należał, zajęcia z poetyki. Zapamiętał go jako wyróżniającego się studenta; o ile wiem, wtedy nic jeszcze nie zapowiadało choroby, która tak fatalnie zaważyć miała na całym życiu tego wybijającego się młodego chłopaka. Jaka to była choroba? Nie mnie wypowiadać się na tematy medyczne. Barbara Marzęcka, autorka gruntownego i obszernego hasła ogłoszonego w słowniku biobibliograficznym *Polscy pisarze i badacze literatury przełomu XX i XXI wieku* (tom 1, Warszawa 2011, strona 258), informuje, że była to „ostra forma zapalenia stawów”; informację tę przekazał jej zapewne sam Janusz. Kiedy go zobaczyłem, a ujrzałem go jedyny raz w życiu (nie potrafię tego wydarzenia umieścić w czasie), sądziłem przez długi czas, że cierpi na straszną chorobę o nazwie innej, a mianowicie „stwardnienie rozsiane boczne”. Gdy przed jakimś czasem w prasie polskiej pojawiały się zdjęcia genialnego fizyka angielskiego, Stephena Hawkinga (w związku z jego śmiercią), uderzyło mnie jego podobieństwo do Janusza tak, jak go zapamiętałem z czasu tego jednorazowego zetknięcia.

Stało się to przed kilkunastu laty w czasie, o ile wiem, ostatniego jego pobytu w Warszawie. Organizowano przed kilkunastu laty serię wieczorów autorskich w Kordegardzie na Krakowskim Przedmieściu (przy wejściu do pałacu, w którym mieści się Ministerstwo Kultury). Usłyszałem od kogoś z organizatorów, że przyjazd Janusza z Sanoka do stolicy był trudnym i żmudnym przedsięwzięciem logistycznym. Już wtedy był w takim stanie, że na czas podróży nie mógł opuścić wózka inwalidzkiego, a przejazd zajął (co oczywiste) znacznie więcej czasu niż normalnie wymagało to pokonanie trasy z Sanoka do Warszawy. Dla Janusza było to wielkie wydarzenie, nie tylko z tej racji, że mógł zaprezentować się jako poeta wtedy jeszcze w tej roli raczej był nieznany lub przynajmniej mało znany. Waga tego przyjazdu łączyła się z tym także, iż tworzyła możliwość spotkania osób zaprzyjaźnionych i życzliwych, kolegów, znajomych, których nie widział od lat, a na ich przyjazd do Sanoka trudno było liczyć. Jak się zdaje, zależało mu także na bezpośrednim poznaniu tych, z którymi miał kontakt wyłącznie telefoniczny (do takich właśnie należałem). Janusz dzwonił do swych znajomych i powiadał o wieczorze autorskim. Niestety, w czasie tego nader tłumnego spotkania udało mi się tylko

do niego podejść, by się przedstawić i przywitać. Siedział na inwalidzkim wózku ustawionym przy wejściu na poboczu. Nie pamiętam, kto czytał wiersze, niewątpliwie specjalnie zaangażowani aktorzy. Z całą pewnością nie robił tego autor, choć do końca swych dni zachował dobrze brzmiący basowy głos. Po zakończeniu spotkania szybko zniknął, zaproszony do domu przez swego najbliższego przyjaciela od wielu lat – Antoniego Liberę. Ich relacje nie układały się od momentu, w którym poglądy na to, co się dzieje, nie tylko ich nie zbliżały, ale wyraźnie dzieliły. Zauważyłem w czasie rozmów, że Janusz Szuber nie tylko prawicowych poglądów swojego przyjaciela z młodych lat nie podziela, ale są mu one dalekie. Ośmieliłem się zapytać, jak w takiej sytuacji układają się ich relacje. Usłyszałem, że nadal bardzo dobrze, a stało się to możliwe dzięki temu, że ustalili, iż o problemach politycznych rozmawiać nie będą. Janusz powiedział mi, że ma wobec tego bliskiego kolegi wielkie długie wdzięczności, że on go odwiedza, specjalnie przyjeżdżając do Sanoka, zabiega, by zachował on kontakty z szerokim światem, pomaga mu w różnych dziedzinach. Odnotowuję te fakty z przyjemnością i z satysfakcją. Z Antonim Liberą, chociaż znamy się od wielu lat, moje kontakty zawsze były ulotne i przypadkowe. Pamiętam jednak, że to on przed kilkunastu (a może nawet kilkudziesięciu) laty zwrócił moją uwagę na to, że w Sanoku działa wybitny poeta Janusz Szuber, ciężko doświadczony przez straszną chorobę. Nazwisko – być może – już wówczas słyszałem, ale niczego konkretnego na temat tego autora nie wiedziałem. Mimo że dwukrotnie byłem w Sanoku: za pierwszym razem, gdy z Januszem Sławińskim i jego pasierbem Krzysztofem Okopieniem wybraliśmy się na wycieczkę po Podkarpaciu i jego atrakcyjnych z różnych powodów niewielkich miastach, oraz po raz drugi (z Markiem Kwapiszewskim), kilkanaście lat później, gdy wracaliśmy z urlopu spędzonego w Bieszczadach. Niestety, nie przyszło mi na myśl, skontaktowanie się z Januszem Szuberem; wtedy jeszcze znajomości telefonicznej nie nawiązaliśmy. Jestem przekonany, że byłoby to udane spotkanie, ale jak zwykle w takich sytuacjach nie umiałem przezwyciężyć nieśmiałości.

Z biograficznego hasła, napisanego przez Barbarę Marzęcką, wynika, że Sanok był dla Janusza ważną przestrzenią z różnych powodów. Najwcześniej zapewne dlatego, że stanowił jego tak zwaną małą ojczyznę, w nim wyrastał, w nim poznawał świat, który w jego dramatycznym przypadku stał się tak drastycznie inny, niż pierwotnie się zapowiadał, któż bowiem mógł przypuszczać, że to życie, które w dzieciństwie i we wczesnej młodości zapowiadało się dobrze, potoczy się za sprawą niespodziewanej i nieubłaganej choroby tak fatalnie. Gdyby nie ona, Janusz Szuber, znany jako utalentowany poeta, nie spędziłby prawie całego dojrzałego życia w tym znajdującym się przy drodze w Bieszczady podgórskim mieście, choć z niego, jak się zdaje, z obydwu stron wywodziła się jego rodzina (niestety, nie znam wielu szczegółów jego biografii, nawet nie wiem, z jakiego źródła miałbym je czerpać). Wywodził się ze środowiska inteligenckiego, jego

dziadek ze strony matki, który miał szczególnie silnie na niego oddziaływać (tak pono mówił sam poeta), był z wykształcenia filologiem klasycznym, zatrudnionym na stanowisku dyrektora sanockiego liceum. Sanok był miejscem już wcześniej naznaczonym związkami z literaturą, czy – szerzej – z piśmiennictwem. Przypomina się tu postać Grzegorza z Sanoka; jak przystało na intelektualistę, który przeżył swoje życie w XV wieku, pisał on po łacinie, jeszcze nie po polsku, co rzecz jasna, nie umniejsza jego związków z miastem, którego nazwą się posługiwał. Późniejszym pisarzem, którzy zawitali na świecie w Sanoku, przyszło żyć w XX wieku. O związkach swych z rodzinnym miastem wspominał przy różnych okazjach Marian Pankowski, mimo że większą część dojrzałego życia przeżył w Brukseli. Pisarzem dwujęzycznym był Kalman Segal, piszący zarówno w jidysz, jak i po polsku, w obydwu językach opowiadał o swym rodzinnym miasteczku, mimo że w dojrzałym (po-zagładowym) okresie życia związał się ze Śląskiem; obecnie jest autorem raczej zapomnianym, mimo że doczekał się poważnej monografii, przygotowanej przez Magdalenę Rutę, judaistkę z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Najnowszym pisarzem, związanym z Sanokiem jest bohater tej opowieści. Można powiedzieć, że literacka kariera tego niewielkiego miasta otwiera się za sprawą Grzegorza z Sanoka, by w naszych czasach objawić swe istnienie w twórczości poetyckiej Janusza z Sanoka.

Można powiedzieć nieco paradoksalnie, że nie był on nigdy „młodym poetą”. Oczywiście, chodzi mi nie o sens dosłowny tej formuły, ale „bycie młodym poetą” to pewna życiowa sytuacja, czy też – bo również w ten sposób można rzecz ująć – pewna życiowa kondycja, a gdy rozpatrywana w szerszej perspektywie, to także pewna subkultura o niewątpliwie dających się wyróżnić właściwościach. Nie znam dostatecznie dobrze, a w istocie znam jedynie w niewielkim wymiarze, szczegóły życiorysu Janusza, by móc odpowiedzieć na pytanie o to, co zdecydowało w sposób zasadniczy, że debiutował dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Swoje znaczenie miał niewątpliwie powrót do rodzinnego Sanoka i tym samym separacja od życia literackiego, w tym zwłaszcza tej jego części, którą w tamtych latach (i wcześniejszych) określano jako ruch młodoliteracki (ten złożony przymiotnik chyba wyszedł z użycia i popadł w zapomnienie). Zapewne w tamtych latach już wiersze pisał, gdyż choroba wprawdzie rozwijaniu twórczości nie sprzyjała, ale też nie musiała trzymać pióra na uwięzi. O istnieniu poety, nazywanego się Janusz Szuber usłyszałem po raz pierwszy chyba pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Z pewnością jego debiut nie był debiutem triumfalnym w wyniku którego – jak na przykład Białoszewski – z kogoś znanego jedynie przyjaciółom i znajomym przekształca się w szybkim tempie, wręcz natychmiast, w pierwszoplanową postać życia literackiego. Takim debiutem sprzyjają zazwyczaj okoliczności zewnętrzne; tak było właśnie w przypadku Białoszewskiego w połowie XX wieku, poezja znaczyła i miała swoją nie tylko literacką wagę już przez to, że istniała jako domena wolności artystycznej

i nie tylko artystycznej. W okresie, w którym zaczęły się ukazywać drukiem kolejne tomy Janusza, a więc w czasie wielkiej przemiany politycznej, poezja, tak zresztą jak inne dziedziny sztuki, nie musiała już grać roli swojego rodzaju *pars pro toto*, czy oznaki, wskazującej na szersze, niekoniecznie artystyczne czy estetyczne procesy. Twórczość poety została stosunkowo szybko dostrzeżona, choć nie miała takiego wsparcia jak na przykład twórczość Adama Zagajewskiego, popularyzowana konsekwentnie w „Zeszytach Literackich, czy twórczość Marcina Świetlickiego za sprawą związków z kulturą popularną. Zwrócił na nią uwagę między innymi Czesław Miłosz. Myślę, że nie przez przypadek. Bliska jest ona nurtowi Miłoszowskiemu w poezji polskiej przełomu wieków. Jest myślicielska, zrygoryzowana, oszczędna, w dość licznych przypadkach ma charakter narracyjny. Janusz Szuber jest poetą, który umie milczeć o swoich cierpieniach. Nie tu miejsce, by przeprowadzać analizy i zagłębiać się w porównania. Wyrażę przekonanie, że poezja Janusza Szubera jest ważnym głosem w poezji polskiej powstającej na pograniczu dwu wieków, głosem, który będzie słyszalny także w odległej przyszłości. Sądzę, że wpisuje się ona w Mickiewiczowsko-Miłoszowski nurt w ewolucji polskiej poezji.

Warszawa, listopad 2020

Three outstanding minds. II

Profiles of the three Polish humanists as remembered by prof. Michał Głowiński.

Key words: Michał Głowiński, Polish humanists, Władysław Bartoszewski, Edmund Jankowski, Janusz Szuber